

7

Zdażyłem w ostatniej chwili przyjechać do indonezyjskiej Papui. Wkrótce bowiem znajdujące się tam jedno z ostatnich sanktuariów pierwotnego świata przejdzie do historii. Podobnego uczucia doświadczyłem kilkanaście lat temu, docierając w Wenezueli do Yanomami, ostatniego prymitywnego plemienia indiańskiego nieposiadającego kontaktu ze światem zewnętrznym. Tak samo było z rdzennymi mieszkańcami Andamanów, groźnymi Jarama, strzelającymi z łuków do intruzów nachodzących ich terytorium. Dziś aborygeni ci utracili tożsamość, poddając się zwodniczemu czarowi cywilizacji białego człowieka. Znaleźli się na krawędzi zagłady i skazani są na powolne zniknięcie.

Ten sam los czeka Korowajów z Papui, kuzynów Kombajów. To jeden z ostatnich znanych nam pierwotnych szczepów pozostających w izolacji. Mieszkają w przypominających gniazda ogromnych ptaków chatach zawieszonych wysoko na drzewach. Zorganizowani w klany żyją w małych grupach rodzinnych, rozrzuconych na znacznych przestrzeniach lasu. Toczą permanentne wojny plemienne, które wynikają z szeroko stosowanej zasady zemsty rodowej. Niewiele istnieje o nich informacji, a te, które są powielane, nie zawsze są dokładne. Relacje podróżników czy opinie misjonarzy zwykle są obarczone stereotypami i dotyczą jedynie zagadnień powierzchownych.

W jarzmie postępu

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu biały człowiek nie wiedział o egzystencji Korowajów, podobnie jak i oni nie mieli pojęcia o istnieniu świata poza granicami plemiennymi. Nawet, jeśli na wyspie od 20 tysięcy lat żyje jeszcze tysiąc innych szczepów postępujących się różnymi językami i dialektami. Na początku lat 80. XX wieku pojawili się nad rzeką Becking holenderscy misjonarze. Zamierzali narzucić miejscowym nową religię oraz system wartości. Zabożyli więc Yaniruma, wzniesli protestanckie kościołki, budynki szkolny i bliźniakom dachem, ambulatorium, odrapany dżit, duszny barak „dworca lotniczego”, stację radiową i niewielki sklepik.

Wkrótce pierwsi, urodzeni w prehistorii tuzilemy otarli się o cywilizację i zaczęli korzystać z jej dobrodziejstw, przejmując nowe wzory zachowań. W kolejnych latach na mapie pojawiły się nowe przyczółki: Yafufia, Manggel, Mabulu. Ich mieszkańcy, ujarzmieni przez postęp osadnicy, mogli się teraz posługiwać żelazną siekierą, używać latarki, zapalek, ubierać się na modłę białych i korzystać z elektryczności, którą zapewnia generator prądu.

Spotkałem ich w Mabulu. Wewnętrznie rozdarci i dotknięci marazmem, skazani na stawianie czoła twardym realiom, zapomnieli o beztrudnym, szczęśliwym życiu. Uwzięni w pół drogi między dawnym a nowym życiem krążyli ospale niczym zjawy bez celu po wsi w dziurawych T-shirtach, brudnych szortach i czapkach narciarskich, sprawiając wrażenie naiwnych wyrośniętych dzieciaków. Wystawiali na sprzedaż swoje życie codzienne, praktyczne umiejętności, oraz kulturę - niestety, pozbawioną już wartości.

Kiedy na pełnej wybojach murawie lądowej awionetka z turystami, wokół przyjeżdżających zbiera się chmara ciekawskich. Korzystają z okazji, tradycyjnie nadzy, jeśli nie liczyć listka zawiazanego na końcu przyrodzenia i uzbrojeni w dzidy, łuki oraz strzały, bo stanowią szczególny cel obiektywów fotograficznych. Niezle prosperują sprzedawcy etnicznych pamiątek, szczególnie pióropuszy z niezwykle ozdobnych piór rajskiego ptaka.

Jednak system klanowy aborygenów nie poddał się presji chrześcijaństwa. Wójownicy z innej epoki sceptycznie podchodzili do nowej religii i nie zamierzali rozstać się z tradycjami. Chronili ich nieprzebyte dżungla, rozległe bagna, wyjątkowo niedostępne łańcuchy górskie i zabójczy klimat, które od zawsze stanowiły barierę nie do pokonania.

Penetrację powstrzymała także wieść o złowrogiej postawie niektórych plemion uprawiających kanibalizm. Nic dziwnego, że misjonarze, którym udało się ochrzcić za ledwie garstkę pogan, porzucili ten region. Na ich miejsce przybyli funkcjonariusze administracji państwowej z zadaniem zasymilowania autochtonów ze społeczeństwem białych. W Dżakarcie, w latach 70. wydano nawet dekret, który przeszedł do historii kuriozów, bo zamierzał zapewnić wszystkim „berwstyrdnym golasom” parę majtek. Misja w budzącym grozę interiorze o zabójczym klimacie, z szalejącą malarją, w którym przenieszenie się jest utrudnione i gdzie zamieszkuje nieprzyjacień nastawieni krajowcy, była zbytkiem na „Syberię Oceanii”.

Więści o Korowajach, mieszkających na wierzchoł-

kach drzew, rozeszły się po świecie, wzbudzając zainteresowanie antropologów i agencji turystycznych. Dziś łowcy egzotyki docierają do klanów już udomowionych, żyjących na obrzeżu naszej cywilizacji, dokąd można dojść w ciągu kilku dni. Na pierwszy rzut oka atmosfera przypomina epokę kamienną i wydaje się, że dawny świat jeszcze nie zagał. Jednak w rzeczywistości kontakt z białymi wywarł ślad na życiu tubylców, nieodwracalnie odzierając ich z własnego dziedzictwa kulturowego. Niektórzy „prymitywni” od pewnego czasu pokazują antropologiczną skomercjalizowaną egzotykę na potrzeby turystów. W okolicy Yaniruma zbudowano nawet podniebny dom na potrzeby sesji filmowej dla National Geographic.

Inne plemiona woła pozostać w enklawie prehistorii i pradawnych rytuałów ze świata magii. Ci bardziej autentyczni i prymitywni żyją w interiorze, dalej od uczęszczanych szlaków wodnych stanowiących jedyną drogę komunikacyjną i nie dziwnego, że kontakt z nimi jest sporadyczny. Szacuje się ich na kilka tysięcy, ale nikt nie zna dokładnej liczby.

Podarki zostały przyjęte

Marsz prawie niedostrzeżalnymi ścieżkami przez wilgotny las równinowy to wyczerpujący tor przeszkód, amalgamat błota, kolczastych chaszcz, lepkiego powietrza, potu, zarosli drzewiastych paproci. Ktoś z naszej ekipy filmowej wierzył, że moskitiera z tiulu uchroni go przed żarłocznymi moskitami, ale szybko się jej pozbył, bo nie mógł oddychać. Inny zdjął koszulę z długimi rękawami i ma pełno zadrapań i skaleczeń.

Już po dwóch tygodniach niektórzy woleliby oglądać surowe prawa dżungli, siedząc wygodnie przed telewizorem. Fascynująca przyгода staje się dla nich torturą przycimającą egzotykę. Dwóch poobcierało sobie stopy do żywego mięsa. Jednego nie opuszcza biegunka, inni narzekają na duszne przesączone maksymalną wilgotnością powietrze paralizujące ruchy. Właśnie przeszła ulewa przypominająca biblijny potop i wydaje się, że znaleźliśmy się w rosyjskiej bani. Szczyście używany w dużych ilościach repelent, który dostaje się z potem do oczu. Budzą wstępn obrzydliwe kleiste pijawki. Cienkie jak wykalczka po opiciu się krwią pęczniejszą do grubości papierosa i wtedy same odpadają. Także tuzin tragarzy odrywa je nieustannie z od-



Dom Korowajów

Podniebne domostwa

JACEK PAŁKIEWICZ

W ciemnościach dżungla zapętnia się monstrami i złymi duchami. Im wyżej znajduje się dom, tym mniejsze jest niebezpieczeństwo nieprzeczonych wizyt

razą. Przydają się skórzane rękawiczki, które ratują dłonie przed podrapaniem przez kolce cierniste krzaki. Za to chmary owadów żądla bezlitośnie przez ubranie, a grube krople potu zalewają twarz i spływają po całym ciele. Insekty zawsze stanowią tu zmorę podróżnika, chociaż zdarzają się okresy wyjątkowe. Na taki trafił w lutym

mój przyjaciel Adam Maciejewski.

Buty ślizgają się na glince zmieszanej z wszechobecnym błotem. Staram się nie potknąć o płątaninę korzeni. Po chwili brodzę po kolana w wodzie, potem zapanuję się po łudki w stęchłym grzeźniaku. Nieraz trzeba pokonać rwący potok po zwałonym w poprzek

zdradliwie oślizgłym pniu drzewa. Przejście jest loterią, zdarzyło się, że spadłem do wody. Taka niespodzianka nie jest zresztą dotkliwie nieprzyjemna, bo chociaż na krótko, odświeża, chroniąc przed udarem ciepłym. Najciężiej jest operatorowi telewizyjnemu, który nie ma prawa upaść z aparaturą.



Ubijanie mięszo palmy sagowej



Korowajowie nie odurzają się, palą natomiast tytoń



Wreszcie rumah tingi, czyli podniebna chatka zawieszona na drzewie 20 metrów nad ziemią, a właściwie jej resztki ledwie dostrzegalne w gęstych konarach wysokich drzew. Jej mieszkańcy opuścili to miejsce, bo braku w pobliżu sagowców stonowiących pożywienie i dom po kilku latach zaczął się już rozpadać, wreszcie został pochłonięty przez dżunglę. Jego gospodarze mieszkają o kilka godzin marszu stąd. Jednak odmawiają nam gościny. Następnego dnia zatrzymujemy się w dwóch kolejnych miejscach, ale są już one, jak mówi szef tragarzy Gershon, „skazone” przez turystów. Dowiadujemy się, że „linia demarkacyjna”, tak określa swego czasu przez holenderskich misjonarzy wymagowana granica oddzielająca świat znany od nieznanego, leży o pięć dni marszu. Tam już dżungla należy do autentycznych, ostatnich Korowajów, u których wszystko może się zdarzyć. Oczywiście tego miejsca nie ma na żadnej mapie.

Chcąc zbliżyć się do Korowajów, pamiętamy o zasadzie, że dzień przed wizytą, trzeba wysłać emisariusza, który w zamian za podarki może uzyskać zgodę na zatrzymanie się. Musimy zatem wykaazać dużo konsekwencji i determinacji, aby w tak skrajnych warunkach przedrzeć się do odległego celu. Nawet ja tam jeszcze nie dotarłem, a o obcokrajowcach nawet nie mówmy - zapewnia nasz przewodnik, tubylec Cornelius.

Elastyczność musi stanowić podstawę naszego działania. Nieodczuwane, jest nieustanne modyfikowanie planów na podstawie informacji uzyskanych po drodze. Podobnie było, kiedy poszukiwaliśmy plemienia Bauzi nad rzeką Mamberamo. Tam też wojskowe mapy nosiły nadruk „relief data incomplete”, brak danych, co potwierdza, jak niewiele wiadomo jest o tym słabo spenetrowanym

regionie. Warunki przemieszczania się dyktują też fatalne warunki pogodowe, mgły i deszcze, które często nie pozwalają wylądować na zaimprovizowanym lądowisku. Loty są dość niebezpieczne i każdego roku rozbija się co najmniej kilka awionetek.

Cornelius triumfalnie oznajmia, że osiągnęliśmy zamierzony cel. Pośród wykarzowanej przetrzeźni, na której pełno jest pni częściowo zakrytych przez wysoką trawę, dostrzegamy rumah tingi. Napiecie wzrasta, kiedy dochodzą nas głośnie brzdące okrzyki. Czyżby nasz wysłannik zawiódł? Kilku wojowników o bezlitosnym wyrazie twarzy biegnie w naszą stronę mierząc z huków. Ich wrogość jest namacalna. Ciemnoskórzy o szerokich nosach, z ozdobną kością wsuniętą u jego nasady są szczupli i niskiego wzrostu. Ich gniewnego, wręcz wściekłego spojrzenia mogłoby pozazdrościć bokserzy zawodowi, kiedy pozerają się wzrokiem przed pierwszym gonim.

Przewodnik i obaj tłumacze - z angielskiego na baha-sa indonezyjską, a z tego na język Korowajów - występują przed szereg i rozpoczynają pertraktację. Wystraszeni spotkaniem oko w oko z wojownikami, niepewnie oczekujemy na finał. Dialog półparty żywą gesticulacją trwa kilka minut, po czym grupa odchodzi w kierunku przestronnych szalasów, a my czekamy w napięciu. Talent dyplomatyczny Corneliusa, a może bardziej podarki, tytoń, siewki i sól, zadziały i otrzymaliśmy zgodę na zatrzymanie się. Kobiety w spódnickach z włókna sago, z opadającymi piersiami i zaokrąglonymi brzuchami niczym w ciąży, trzymają się na uboczu i patrzą bez ruchu. Na ich twarzach maluje się zdumienie, strach i ciekawość zarazem. Kiedy zdejmują koszulę, zatrwożone dzieci uciekają z krzykiem, bo myślą, że zdejmują z siebie skórę.

Pokryty błotem i skąpany we własnym pocie, rozglądam się za kąpieliskiem. Niestety, pobliska stojąca woda może służyć tylko za wyleganie śmiertelnych mikroobów. Do rzeczulki trzeba iść 10 minut. Rzucam się w ubranie do mętnej, brunatnej wody i jest to najprzyjemniejsza chwila dnia. Gorsze jest potem wyjście przez trzęsawisko.

Rozlokowaliśmy się w jednej z chat na szczudłach, służącej za kuchnię zastępczą. Obok mieszczą się tymczasowo siedziby dla kobiet w okresie menstruacyjnym i matek z nowo narodzonymi dziećmi. Widoczne jest ubóstwo i brak troski o domostwo. Jeden z tubylców nierozstający się z włócznią, rozpała nam ognisko, wyrzucając ogień za pomocą dwóch kawałków drewna. Groteskowo wyglądają na tym le nasze komputery, odbiorniki GPS i telefony satelitarne.

Osiem pięter nad ziemią

Titus, wódz klanu o wojowniczej fizjonomii, z wykwitami i nadzercami na ciele, wskazując swój dom, zaprasza gościem na górę, na wysokość ósmego piętra. Właśnie poszła tam jedna kobieta. Obserwuję ją z podziwem, jak zwracając, z pomocą jednej tylko ręki wdrapuje się po długim drągu z naciągami, niosąc w siatce na plecach prosię i dziecko pod pachą. Nabieram odwagi i z biciem serca wspinam się najpierw po chybotliwej drabinie, po czym muszę pokonać ustawioną pionowo sprężystą żerdź ze zbyt małymi zaciosami, abym mógł pewnie postawić stopę. Boję się, że lada chwila zlamie się, nie wytrzymując ciężaru Europejczyka.

Spocony nie tyle z wysiłku, ile ze strachu o upadek z tak dużej wysokości, roziadam

się na werandzie. Przytłacza mnie chaos jakiegoś tranzycyjnego pomieszczenia, a nie właściwego domu. Unikając mojego spojrzenia kobieta w toplecie, ale z naszymi zębów psa, kuchli coś na palenisku wylepionym gliną. W pomieszczeniu obok ktoś kaszle, ktoś inny charcze i splota, w innym zakątku chrząka świnią, na którą warczy wylepiły, pełen krost kundel. Aż dziw bierze, że małe leżące dziecko pozostało spokojne i nie zanosi się płaczem. W narożniku stoipek strzał o różnorodnych grotach. Z utwardzonego w ogniu drewna - na zwierzęta, czterozębne niczym harpun - na ryby, zaokrąglone na ptaki, a z wyciętego w zęby puszczela kazuara, są przeznaczone na człowieka.

Korowajowie wybierają na nadzwyczajne domostwo proste i silny pień drzewa z szeroko rozchodzącymi się konarami. Podstawową konstrukcję stanowi platforma o wymiarach 5x8 metrów zbudowana w rozgałęzieniu konarów. Do powiązanych linkiem żerdzi stonowiących podłogę, zamocowane są półtorametrowej wysokości ściany z rozplaszczonych kawałków kory i dach z wielkich pierzastych liści palmy sagowej. Podłoga uszczelniona jest gatunkiem trawy chroniącej przed złymi duchami.

Wokół mnie i podę mną zielone morze, widok hipnotyzujący. Teraz rozumiem, skąd wzięły się domy na wierzchołkach drzew. Powietrze jest tu świeższe, nie docierają komary ani jadłowite pajaki, węże czy robactwo. Łatwo można się obronić przed wrogiem. Korowajowie będąc animistami wierzą, że w ciemnościach dżungli zapełnia się monstrami i złymi duchami. Im wyżej znajduje się dom, tym mniejsze jest niebezpieczeństwo nieproszonego wstąpienia. To prawdziwy mikrokosmos, skąd mieszkańcy mogą dominować nad światem, który ich otacza.

Mit kanibalizmu

Każdego, kto przyjeżdża do Papui, nurtuje pytanie o praktykowanie kanibalizmu. Oczywiście od dawna wyjęty jest on spod prawa, ale wiadomo też, że dawne wierzenia i tradycje wciąż są obecne w praktykach Korowajów. Do dziś krąży budzące grozę opisy demonizujące tubylców. Wszelkie relacje, tak misjonarskie, jak i badaczy mogą jednak budzić poważne wątpliwości, bo poddane zniekształceniu ustne przekazy bywają zwodnicze.

Co do kanibalizmu, jedno jest pewne. Korowajowie nie zjadali ciała wrogów, aby przywłaszczać sobie ich siłę, poświęcić głowę ofiary na potrzeby inicjacji czy zapewnić urodzajność ziemi bądź płodność kobiet. Tło jest inne. Przez dwóch tłumaczy dowiaduję się od gospodarza, że w ich wierzeniach osoby podejrzane o czary muszą być zamordowane. -My nie zjadamy człowieka - podkreśla - a tylko „kakue”, siedzącego w nim złego ducha, który przynosi nieszczęścia i zagraża życiu innych. Wychowani w świecie mitów Korowajowie nie mają wyobrażenia o prawie i nigdy nie byli ograniczani przez społeczne normy. Nie dziwnego, że spontanicznie dają upust namiętnościom, stonowiącym swoistą formę plemiennego wymiaru sprawiedliwości.

Amerykański antropolog Rupert Stach, który w latach 90. spędził pośród Korowajów ponad rok, twierdzi, że nie znalazł dowodów potwierdzających praktykowanie kanibalizmu. Zastanawiam się, czy fama o okrutnych kanibalach nie jest przypadkiem podtrzymywana dla potrzeb przemysłowego. Setki europejskich biur podróży kusi egzotycznym programem, bo tajemniczy łowcy głów silnie działają na wyobraźnię.

Korowajowie okazują się nieufni, nie można z nimi nawiązać bliskiego kontaktu. Mamy jednak okazję obejrzeć fragment ich dnia powszedniego. Dwóch mężczyzn ścina na mokradłach kamiennymi siekierami palmę sagową i koruje ją, po czym kilka kobiet ubija mięszowy rdzeń na miąższ i wodą wypłukuje w rynnę sago. Z tej białawej mączki upieką potem podpiomyki. Taka palma zapewni pożywienie dla całej rodziny na dwa, trzy tygodnie. Ścięte drzewo stanowi węgarmię delikatniejszego przysmaku. W próchniejącym wnętrzu samice chrząszczy składają jaja, które po dwóch miesiącach owocują grubszymi od palca pędrakami. Uczta jest zapewniona, bo w jednym pniu można zebrać ponad 500 tustych „ulat”, które aborygeni spożywają na surowo lub pieczone w bananowych liściach.

Jak długo jeszcze zdołają przetrwać zagubieni w czasie autochtoni? Ich los jest nieuchronny. Polityka asymilacji ze strony posłańców cywilizacji nie sprawdziła się, bo nawet pokojowa ingerencja sprawia, że wcześniej czy później tubylcy tracą zdolność do samodzielnego życia, zaczynają wyżywać i uzależniają się od pomocy rządowej. Mario Vargas Llosa uważa: „Gdybyśmy musieli wybrać między zachowaniem indiańskich kultur a ich całkowitą asymilacją, to z głębokim smutkiem wybrałbym integrację indiańskich społeczności, bo głównym priorytetem jest, oczywiście, walka z głodem i ubóstwem”.

Dość wśród antropologów panuje pogląd, że nie należy specjalnie ochraniać plemion tubylczych. Wystarczy pozostawić je własnemu losowi, aby egzystowały tak jak dotychczas i aby same decydowały o nawiązaniu z nami kontaktu.

Autor jest członkiem Rzeczywistym Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie